№ 12.

Warszawa dnia 11/23 Marca R. 1867



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

Korrespondencja z Paryża.

(Dokończenie).

Część miasta w Konstantynopolu przez Europejczyków zamieszkała, nazywa się Peru. Jest to strona najpiękniejsza, najporządniéj utrzymana i najokazniejsza. Tam to mieszczą się gmachy wszystkich ambasad bardzo ładnie pobudowane: — są także równie ładne i kamienice prywatne, a ulice szersze i równiejsze. Ludność tego przedmieścia składa się z narodowości całego świata, można między nią usłyszyć języki znane zaledwie z nazwy, wre tu życie prawdziwie handlowe. Wrzawa, zgiełk pannują od świtu do nocy, mieszkańców nazywają Perotami od części miasta którą zamieszkują. Pomimo tego że to są wszystko chrześcjanie, jednak zupełnie nie zalecają się chrześcjańskiemi cnotami. Oszukać, odrwić obedrzyć a nawet okraść, są to między niemi zwyczajności już nikogo nawet nie dziwiące. O morderstwo także tu nie trudno, dość że wyglądają jak pokrzywy społeczne, chwast nikczemny, które umieją tylko dokuczać i zawadzać a pożytku prawie nie przynoszą. Co u Turka kupisz za piastra za to samo u Perota zapłacić musisz pięć piastrów i najczęściéj nie przypilnowawszy się, w dodatku dostaniesz towar lichy i zle zważony. Rzecz jednak szczególna, że Turcy w postępowaniu politycznem dający dowody najgorszéj administracji, okrucieństwa, zdzierstwa i prześladowania, w prywatnem życiu zupełnie inaczéj się przedstawiają. Wojsko ich prawie nie płatne, pobierające wszystkie produkta w naturze w takiéj ilości, że połowa jest dostateczną na ich wyżywienie, a drugą połowę przedają na swoją korzyść, jest niezmiernie wstrzemięźliwe, trzeźwe i spokojne. Obdarci, zabrudzeni, zadawalniają się byle czem, i aby tylko mieli tytoń i ryż, o resztę mało dbają. Kawalerja znacznie lepszą ma powierzchowność a gwardja złożona z Czerkiesów, Arabów, Beduinów, Bośniaków, Kurdów, Bułgarów, Kroatów i innych plemion, otaczająca zawsze Sułtana jadącego w piątek do meczetu, tak jest bogato przystrojona, tak ma dzielne i piękne konie, że nic podobnego nigdzie spotkać nie można. Patrząc na tak postępujący orszak, na lud rosły i dorodny z męzką powagą powodujący ognistemi rumakami, zda się być świadkiem widziadła z tysiąca i jednéj nocy.

Mimo jednak téj świetnéj powierzchowności, czujesz w tem wszystkiem pewną sztywność i nienaturalność, coś nakształt poruszeń mechanicznych figur, posłusznych ręce kręcącéj korbą, która je do ruchu przynagla. Jest w nich pozór ale życia nie ma, są to niby ludzie ale bez duszy: żołnierze a nie wojownicy.

Przeznaczenie, to ich Bóg, to żelazny mur którego ani przebić ani przeskoczyć nie umieją. Otoczeni niem jak ptak klatką, w wiekowym zastoju stali się moralnemi karłami, a raczéj kalekami nie umiejącemi myśleć, rozważać i wnioskować. Dziś już nic ich nie wydzwignie z tego osłupienia ducha, ani nie wyratuje od zatracenia zbliżającego się powolnie ale stale i nieodmiennie. Ustąpić muszą z Europy, a późniéj rozpłynąć, cofać, kurczyć i wreszcie zniknąć zostawiając miejsce ludziom, których tylko z pozoru są przypomnieniem.

Cały Wschód w tem samem znajduje się położeniu, nie odmienia się, nie podnosi i nie potężnieje. Zasklepiony w odwiecznéj formie ograniczonéj myśli jak tylko w nią zakuł społeczność, na jeden krok nie posunął się naprzód: czem był tem został, nie rosnąc ni w liczbę ni w siłę. A potęga to niepospolita, same Chiny ludniejsze od całéj Europy, cóż dopiero Indje i inne plemiona rozsypane po Azji i Afryce Garstka jednak Europejczyków, pokorzy Chiny, trzy-

ma w jarzmie Indje, a karci resztę nie przepuszczając najmniejszego wybryku swawoli. I nie robi tego nadzwyczajnością swoich wynalazków, bo proch, druk, para, znane były wpierw starożytnikom niż nam, ale myślą wyższą, ożywioną rozumem i miłością chrześciańską, która wynalazkami temi umie skutecznie w widokach swoich kierować. I kiedy w Europie dla mnożącéj się ludności coraz staje się ciaśniéj, zmuszając ją przez osady do coraz większego zdobywania sobie miejsca, reszta świata nie tylko nie rośnie w ludność ale się umniejsza, jakby przedstawiana przez niego myśl nie potrzebowała już przedstawicieli. Drzewo usycha doszedłszy do swego kresu i w proch się rozsypuje, tak samo zamiera społeczność i ginie, gdy wyrobionéj ożywiającej ją myśli, nie umie nadać innego kierunku. Europa pod sztandarem Chrystusa ma jeszcze długą drogę przed sobą aby zostać społecznością prawdziwie chrześcjańską, i dla tego idzie naprzód dopóki nie utworzy jednéj owczarni rządzonéj rozumem i miłością. Świat więc cały musi zostać Europą, a ludność nie europejska musi albo zginąć albo przekształcić się na europejską.

Jest to wyrok nieodzowny, wykonanie jego może mieć różne przejścia, ale się spełni co do jednéj literki. Co potem nastąpi, jest to tajemnica wieków drzemiących w nieograniczonéj przestrzeni. Ludzkość zmieniona w społeczność chrześcjańską, rozwinięta w całéj pełni nauki Zbawiciela, jeżeli nie stworzy nowéj idei, nowéj dążności prącéj ducha jéj do wyżyn moralnych, zginie także i to będzie ów zapowiedziany koniec świata. Ale któż odgadnie postęp myśli ludzkiéj biorącéj od Boga początek?

Zważając jednak na nieograniczoną potęgę myśli, zaglądającéj ciekawie nawet w tajemnice Boże, zdaje się że w pracy swéj pójdzie daléj, aż dojdzie tam zkąd wzięła początek.

K. G.

POLOT MYŚLI.

Dajcie, dajcie arkana,
Niech myśl w locie pochwycę,
Co jako łódź zbłąkana
Płynie wichrem w błękicie.

I nad orły lotniejsza,
Prześciga się z chmurami,
Lub od motyli lżejsza,
Igra między kwiatami.

Próżno zastawiam sidła
By pochwycić wietrznicę,
Niby iskra się migła,
I zginęła w błękicie.

Po stepach i kurchanach,
Pędzi wichrem niesiona,
W mgły przejrzystych tumanach,
Spada w morza ramiona.

W srebrnéj fali skąpana,
Wstaje z toni iskrząca,
A jéj szata utkana
Niby z blasków miesiąca.

W obłokach jak śród morza,
Płynie daléj, zuchwaléj,
Gdzie świeci ranna zorza,
Złote słonko się pali.

A w téj lotnej wędrówce,
Nieraz z kwiatem się pieści,
I po dziewiczéj główce
Rojem marzeń szeleści.

Lub spocznie u strumyka,
Z trawkami się rozgwarzy,
W słodkim śpiewie słowika,
Dziwnie tęschnie rozmarzy.

Poduma chwilę małą,
Serdecznie, żałośnie,
I pójdzie duszą całą
W jasne niebo radośnie.

Dajcież dajcie arkana
Niech myśl w locie pochwycę,
Co przepływa zbłąkana,
Po niebieskim błękicie.

Liljana.

DZIEDZICZKA JODŁOWCA

POWIEŚĆ,

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg.)



Wyjeżdżając z dziedzińca raz jeszcze obejrzała się na dwór, na ogród, na stare drzewa i zielone trawniki,

Pan Radzyński i major żegnali ją jeszcze powtarzanem skinieniem ręki. Daléj stała służba, patrząc się za odjeżdżającemi, a pomiędzy niemi była i zapłakana Justysia.

Z boku dojrzała Janina okna swojego pokoju....— zacisnęła oczy chusteczką — i zapłakała.

Pani Radzyńska uścisnęła ją w objęciu. A panienki rozpłakały się także.

Major bezzwłocznie, z największym pośpiechem list wyprawił do pana Jerzego. Napisał mu tylko:

„Przybywaj co rychléj, kochany Panie Jerzy, bo różne zaszły tu historye. Nie trwóż się wszelako, bo nic tak dalece nie stało się złego. O szczegółach pisać niepodobna— opowiemy wszystko. Pani Radzyńska wyjechała dziś z córkami i z panną Janiną.

Serdeczny uścisk! Do zobaczenia!

Antoni,

Zajezierze
7 Maja 185...!

Pan Jerzy końmi kuryerskiemi, bezzwłocznie zjechał. Był zniepokojony strasznie, jechał bez wytchnienia, bez posiłku gorączkowym gnany pośpiechem. W Zajezierzu zastał majora.

— Cóż się stało? Na Boga! Cóż zaszło? — były pierwsze jego wyrazy.

— Nic złego!.... Chodź! — i wprowadził go do pokoju.

Po kilku już chwilach Jerzy wiedział wszystko. Pobladł jak mara.

— Eleonora szalona!.... Waryatka! — zawołał — całe zniszczyła mi szczęście! Zamarło wszystko!... Och, czemuż ona jest dziedziczką Jodłowca! i uderzył się w czoło.

— To i cóż?! — ozwał się major.

— Dla czegóż nie jest panną Siewońską!... Panna Swiętoborska straconą jest dla mnie.

— Cóż znowu!

— Nie oświadczyłem się pannie Siewońskiéj.... a dzisiaj, z jakiemże czołem mógłbym o rękę dziedziczki Jodłowca poprosić?!. Honor, uczciwość, wszystko opiera się temu. Majorze, czyliż tego nie pojmujesz?

Stary wojak zasępił się widocznie, bo dotąd ta uwaga ani mu w myśli postała.

— Umizgałem się to niby, niejawnie, niewyraźnie przez czasu kawał, ubogiéj pannie do towarzystwa, a nic do niéj stanowczego nie wyrzekłem, jak gdyby tylko jakimś *passe temps* dla mnie być miała. Teraz, gdy tajemnica się wykryła, gdy ta panienka nagle bogatą została dziedziczką, byłoby z mojéj strony bezczelnością, bezwstydem, oświadczyć jéj uczucia, których w tedy wyznać nie chciałem!... Dla czegóż nie uczyniłem tego, gdy dla nas wszystkich tylko panną Siewońską była? Majorze, to pytanie, te uwagi nasuną się każdemu, i każden na nie odpowie: „bo w tedy nie była dziedziczką Jodłowca.“ I panna Janina nie mogłaby myśleć inaczéj.... a zyskałbym tylko jéj zupełną pogardę.

— Och, panie Jerzy! — major głową pokręcił, bo nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Kochany Panie, ty jeden wiedziałeś, zacny przyjacielu, jakie są moje szczere pragnienia i zamiary, a zresztą nikt więcéj....

— Więc też wystąpię i potwierdzę wszystko.

— Dziś już zapóźno! I wyglądałoby na świeżo ukartowaną komedyą, ułożoną na prędce pomiędzy nami — gorzko zaśmiał się Jerzy — i honor ucierpiałby srodze.

Major spuścił głowę w milczeniu.

- Szczęście moje i nadzieja — mówił Jerzy daléj — zdeptane są na zawsze, zniszczone na zawsze! Uczucia moje dla niéj nie zmienią się nigdy... Ona gwiazdą jasną zawsze przyświecać mi będzie, lecz pozostanę z daleka... może nawet nie ujrzę jéj więcéj w życiu. Honor nieprzełamaną stawia zaporę!... Jakżeż ją dzisiaj rozumiem, i to wszystko co mówiła kiedy! Te powstawania na spekulacyjnie zawarte małżeństwa, i litowanie się nad dziedziczką Jodłowca!... Jakżeż teraz wyjaśniło się wszystko! Niechaj będzie szczęśliwą z kim innym. Dla mnie rezygnacya tylko!.. Fatalizm.... i Eleonora! — przycisnął chustkę do czoła, porwał się nagle i zadzwonił.

— Każ mi konia okulbaczyć co rychléj! — rozkazał lokajowi.

— Dokądże chcesz pojechać? — zapytał major.

— Do Zjawieńca. Chcę z ust Eleonory każde posłyszeć słowo, które w tedy wyrzekła, którem całą zniszczyła mi przyszłość.

— Ale kochany Jerciu, to złagodzi się wszystko, naprawi się....

— Nigdy! Usuwam się na zawsze, i najpewniéj nie zobaczymy się już nigdy. Majorze! — stanął przed nim i wlepił oczy w oblicze jego — stanąłbym przed nią z rumieńcem na czole.... a raczéj śmierć, samobójstwo, aniżeli rumieniec sromu! Wiem że mnie rozumiesz.... Czemuż ona nie jest panną Siewońską!.... Majorze, musisz uznać słuszność skrupułów moich!

W téj chwili w biegł pan Radzyński.

— Witam, Jerciu kochany! — i uścisnął krewnego — tylko com wrócił i posłyszał, żeś przybył. Ale i już znowu gdzieś konno chcesz pojechać?

— Do Zjawieńca. Muszę.

— To każę ci zaprządz.

— Nie, nie, wolę konno. Miota mną zbyt wielkie wzburzenie: konna jazda jest mi potrzebą.

— Co też to porobiło się wszystko! Jakież niespodziane rozwiązanie!.... I nieprzyjemności niepotrzebne.

— Wynikło z niedorzeczności Eleonory i jéj złośliwości namiętnéj — wymówił Jerzy, i podniósł się blady a z wrokiem palącym.

Służba wniosła śniadanie.

— Czy jest koń? — zapytał.

— Jest jaśnie panie.

— Przecież w przódy zjesz sniadanie! — prosił pan domu.

— Dziekuję, nie mogę.

— Ujechałeś mil tyle, i wiem żeś do ust nic nie wziął.

— Nie mogę, niepodobna!... Bywajcie zdrowi! Zą parę godzin będę z powrotem.

Pożegnał się i wybiegł. Puścił się cwałem na dzielnym wierzchowcu, i w kilku już chwilach z oczów zniknął patrzącym za nim.

— Za gorąco rzeczy bierze — wymówił pan Radzyński — nie widziałem go nigdy jeszcze w takim stanie. Chodź, majorku, posilemy się trochę!

Lecz i majorowi jakoś apetytu zabrakło, i był milczący i posępny. A potem odjechał do siebie.

W parę godzin potem odebrał karteczkę od pana Radzyńskiego, nakreśloną z pośpiechem widocznym.

„Jerzy powrócił, ale tak złamany i chory, że aż lękam się o niego. Ma gwałtowny ból głowy i gorączkę. Zmienił się strasznie. Przybywaj, majorze, bez zwłoki! Po doktora posełam w téj chwili.

Jan R.“

Major natychmiast pospieszył i zastał Jerzego w malignie.

Przybyły lekarz wyrzekł: że pan Gorysławski ma zapalenie mózgu.

V

We śnie z nim — zda się — żegnałam na wieki,
Patrząc na jakąś gwiazdę dziwnie piękną:
Potem on zniknął; a moje powieki
W perłach — jak róże, gdy rosą nabrzękną.

J Słowacki.
(*Król-duch.*)

Z Warszawy Janina telegrafowała do Meranu, prosząc, by pani Siewońska powracała co rychléj.

Dnia czwartego po wyjeździe z Zajezierza, stanęły podróżne nasze w Jodłowcu.

Powiadomiona służba czekała na kolei żelaznej.

— A czy wszyscy tam zdrowi? — zapytała ich Janina.

— Zdrowi wszyscy, pani!

— I wszystko dobrze?

— Jak najlepiéj!

Z przystanku tegoż napisała list do wujenki: że powróciła w towarzystwie pani Radzyńskiéj z Lubelskiego i jéj córek; że pani Siewońska z Julką dopiero za dni parę zjadą i prosiła, by kochana wujencia do Jodłowca przybyć raczyła.

Jodłowiec przedstawił się uroczo w zieleni majowéj. Panienki były nim oczarowane, i skoro tylko wysiadły, pobiegły zaraz, by zwiedzić pałac i ogród.

Janinę dziwne ścisnęło uczucie, gdy swoją powitała siedzibę rzewno-błogie, ale i tęschne zarazem, i o mało, że się nie rozpłakała. Tak inaczéj dziś wszystko było: brakowało jéj pani Siewońskiéj i Julki, zmieniła się i sama, a gdy w swoim perskim ujrzała się pokoju, pamięć odżywiła jéj wszystko, cokolwiek poprzedziło ich wyjazd spólny do Warszawy a po za tem zabolały ją ostatnie przejścia dotkliwe.

„Przekonałam się“ — mówiła sobie w duszy — „zaczerpnęłam chwili szczęścia, ale było to tylko, jakoby darem z puszki *Pandory*..:“ — zacisnęła dłońmi oczy, a potem spokojna na pozór, lubo z sercem ciężkiem, powróciła na werandę, gdzie służba właśnie przybory do herbaty czyniła.

Dnia następnego a poranek był śliczny, udała się młoda dziedziczka, wraz z gośćmi swojemi, na mszą ś. Błogo jéj było pomodlić się znowu tam, gdzie, dzieckiem będąc, paciorek zmawiać lubiła. Wychodząc z kościoła, witały ją wiejskie kobiety z nieudaną radością, jako też i starców kilku, błogosławiąc jéj powrót.

Nadeszła pani Żreńska także witając ją serdecznie, a wreszcie i proboszcz, który z rozjaśnionym zaczął wyrazem:

— Witamy wszyscy uszczęśliwieni powrotem naszéj....

— Och, proboszczu, i jam szczęśliwa! — przerwała mu Janina z rzewnym w głosie oddźwiękiem, że znowu jestem pomiędzy wami. Ksiądz proboszcz Ćwierczyński, pani Radzyńska i jéj córki — dodała przedstawiając. A teraz pójdziemy matkę księdza proboszcza powitać — i ku plebanij skręciła.

— A kiedyż panie Siewońskie powrócą? — zapytał proboszcz.

— Za dni parę. Wyprzedziłam je tylko na krótko.

We drzwiach domu ukazała się właśnie sędziwa pani Ćwierczyńska. Nastąpiły powitania i Janina zaprosiła syna i matkę na objad.

Wracając do pałacu, zapytała Janina panią Żreńską o pana Władysława Tumińskiego.

— Krząta się, pracuje — odrzekła zapytana — i dzięki Bogu, dość dobrze mu się powodzi.

— Szczerze cieszę się z tego — odrzekła Janina z zadowoleniem, i myślą przyjazną, poczciwą, kochaną Julkę objęła.

Nazajutrz z rana przybyła pani Gromontowska. Panie siedziały właśnie na tarasie, gdy kareta w dziedziniec wjechała, ale pani Radzyńska z córkami zaraz do swoich udała się pokoi, by Janinę samą z wujenką zostawić.

Poczciwa wujencia ze łzami w oczach uścisnęła siostrzankę.

— Jakżem rada żeś wróciła! — powtarzała—jakżem rada, bom już i bardzo tęschniła za tobą... Ale powiedz, cóż dzieje się z panią Siewońską i Julką? Cóż znaczy, żeś sama pierwéj wróciła? Oboje z mężem łamaliśmy sobie głowy.

— To jest historya cała, wujenciu droga! —

uśmiechnęła się niby Janina, zrumieniała, a potem pobladła.

— I cóż przecie? Rozciekawiasz mnie i niepokoisz zarazem.

— Wujeńciu, więc posłuchaj! — usiadła przy niéj na kanapie w perskim pokoju — w owym to niby przybytku wszelkich pogadanek poufnych i zwierzeń, przytuliła się do niéj — i opowiedziała wszystko.

Pani Gromontowska słuchała nieprzerywając jéj i razu, lubo, że ździwienie, współczucie i pewna trwoga naprzemian, wybitnie w jéj wyrażały się rysach.

— Dziecko, dziecko! — zawołała w końcu, przyciskając ją do siebie. Jakżeś mogła!.. Jakże mogłaś, o mój Boże, w taki rzucać się odmęt! Jakżeż pani Siewońska...

Postanowienie moje było niczem nie do pokonania! — zawołała młoda dziewczyna — pani Siewońska płakała, martwiła się, błagała... alem ją zniewoliła, że milczała, że mi przeszkadzać nie mogła — i znowu całą powtórzyła walkę, którą z poczciwą swoją nauczycielką stoczyła.

— Stało się, i odstać się nie może! — wyrzekła wreszcie wujenka—więc już i mówić niema o czem... Ale jakżeż tam ten pan Jerzy? — zapytała ciszéj.

Janina nagle pobladła.

— Zerwane wszystko — wymówiła stłumionym głosem — inaczéj być nie może!

— Lecz ty go kochasz!

Janina milczała.

— I on ciebie kocha! uwielbia!

— Niezwykłe błysnęło mi szczęście, przekonałam się, żem potrafiła zacne i szlachetne pozyskać serce.. A pan Jerzy — dodała cichym poszeptem—jaśnieje ponad innych przymiotami wszelkiemi. Pomiędzy nami jednak ostatnia scena dramatu skończyła wszystko.

— To być nie może!

— Rozwiązanie było zbyt gwałtowne. Wujeńciu droga, jest to może... kara za mój wybryk... za kłam popełniony... Zawiniłam!

— Cóż znowu? Jakież to przypuszczenia!

— Bezkarnie takie nie uchodzą ekscentryczności!, Janina uśmiechnęła się boleśnie.

— Biedna moja, kochana! — pani Gromontowska ją objęła, mając łzę na oku.

— Wujeńciu! — zaczęła Janina po chwili — potrzeba wujaszkowi co rychléj tę całą nieprzyjemną opowiedzieć sprawę.

— On jutro tu będzie.

— Wujeńcia to uczyni...

— Rozumie się!... Będzie zżymał się trochę na panią Siewońską...

— Byle tylko nie na nią! — zawołała Janina błagalnie, i złożone ku niéj wyciągnęła ręce — wytłumacz mu wujeńcia, żem ją gwałtownem naleganiem do przyzwolenia i zamilczenia wszystkiego zmusiła... i przycisnęła ręce splecione do piersi.

— Powiem to wszystko mężowi, wytłumaczę ją, jak tego żądasz. I dzisiaj nam wszystkim na tem najwięcéj zależeć powinno, by o téj całéj sprawie jak najmniéj mówiono; by łagodzić wszystko... i jako kaprysik młodéj, a bogatéj uważać panienki. Mąż mój uzna to także....

— I niechaj mi nie czyni wyrzutów! Niechaj mnie nie łaje!— zawołała Janina z uśmiechem niby, ale usta jéj zadrgnęły i była bladą bardzo.

— O tem bądź przekonaną!... I bądź spokojną zupełnie! Nie czyniłby tego nigdy.

Długo jeszcze rozmawiały z sobą. Zwolna, Janina przed wujenką odsłoniła się całkiem, i dała jéj poznać ukrytą ranę.

— To naprawi się wszystko! — powtórzyła znowu pani Gromontowska — on przybędzie, jako starający się o rękę twoją...

— Nie wujeńciu, nie! Skończyło się wszystko!... I tylko mi pozostało wspomnienie i zadowolające przeświadczenie. Żal potrzeba ponieść na ołtarz.... i przetrawić. Czas złagodzi wszystko i uleczy — uśmiechnęła się znowu, ale tak rzewno i boleśnie, że się serce kochającéj wujenki ścisnęło.

Przy drugiem śniadaniu zeszły się bawiące w Jodłowcu panie. Poczciwa wujeńcia od razu do pani Radzyńskiéj przylgnęła, i ta ją pokochała nawzajem.

Wieczornym pociągiem nadspodziewanie przybył pan Gromontowski.

— Korciło mnie — wymówił, witając Janinę— by ciebie powitać, i dla tego widzisz mnie już dzisiaj.

— Dzięki, dzięki wujaszku! — uścisnęła go siostrzanka z wdzięcznem uczuciem.

— A przedstawże mnie i zaraz pani Radzyńskiéj i jéj córeczkom, bym jéj podziękował za okazaną ci opiekę i troskliwość macierzyńską, jak to w swoim mówiłaś mi liście.

Janina poprowadziła go na taras, gdzie panie siedziały — i zamiana słów nie zwykłéj grzeczności, ale raczéj szczerszego nastąpiła uczucia.

Po niedługiéj zaraz chwili ujęła pani Gromontowska męża pod rękę i poprowadziła go w ogród. Usiedli na ustronnéj ławeczce, i długa upłynęła godzina zanim ukazali się znowu. Na czole pana Gromontowskiego nieco głębsze były fałdy, lecz na ustach dobrotliwy miał uśmiech; na licach pani mocny wybił się rumieniec, znać w skutek gorliwego jéj przemawiania.

Gdy podchodzili na taras Janina pobiegła ku nim ujęła rękę wuja i przytuliła się do ramienia jego.

— Niebaczne dziecko! — poszepnął tylko i przycisnął głowę jéj do piersi.

Przyłączyli się do pań na tarasie siedzących. Pan Gromontowski swobodną zawiązał rozmowę. Pani Radzyńska zrozumiała go i wdzięczną mu była za okazaną względność dla kochanéj Janinki, gawędka przeto potoczyła się raźno, bo i panienki szczebiotały wesoło.

Przy powiedzeniu sobie w parę godzin potem Dobranoc — pan Gromontowski wziął na bok Janinę, bo lubo uśmiech przywoływała na usta, to wszelako z oczów smutna myśl przezierała, a trzymając w dłoniach swoich jéj ręce obiedwie, zaśmiał się wesoło, i z cicha wyrzekł:

— Wiesz dzieweczko, byłbym chciał tę ostatnią dramatyczną widzieć scenę, a mianowicie też minę

téj pretensjonalnéj a śmiesznéj, pani Bojarowskiéj, czyli jak się tam zowie.

— O, wujaszku! — poszepnęła Janina.

— No, stało się, minęło! Do góry czoło, dziewczyno! a na raz drugi—szepnął jéj do ucha — w takie nie baw się wybryki. Dobra noc!

— Dobra noc, wujaszku!

— Biedne dziewczę— wymówił do żony, gdy sami w swoim zostali pokoju — nawarzyło sobie piwa pić musi je teraz. Oj, ta pani Siewońska!

— Ona niewinna! — błagała żona.

— Niewinna, lecz słaba i z przeproszeniem...

— Cicho, cicho, Karolu!

— Ale, co się zrobiło, tego już nikt nie odrobi. Biedne dziewczę może sobie całą przyszłość zwichnęło. Słyszałem ja o tym panu Jerzym Gorysławskim, wymieniono mi go w Krakowie, jako perłę młodzieży. Lecz właśnie da tego, że jest człowiekiem charakteru wyższego, czyliż nie potępi tego wybryku niedorzecznego, czyliż go ta komedja nie zrazi?

— I mnie myśl ta ubodła— wymówiła pani Gromontowska, smutno pokiwując głową — a ona go pokochała! — dodała ciszéj.

— Otóż i zaprawdę smutne następstwo tego czynu warjackiego! Boć ta historja odstręczyć go może.

— Tylko jéj nic o tem nie mów! — prosiła poczciwa kobieta.

— Och, naturalnie!

— A zdaje mi się, że ona sama domyśla się tego i to ją boli.

I słusznym był domysł pani Gromontowskiéj: myśl tą nastręczała się istotnie Janinie. Stawała przed nią, jakoby widmo złowrogie — ale jéj w wyrazy przyoblec i mówić o niéj nie chciała. Za nadto było to przykre.

Pani Radzyńska dni trzy zabawiła w Jodłowcu, i zaraz potem zaczęła się wybierać do domu, niespokojna o to, co tam zajść mogło daléj. Czwartego dnia przeto pożegnała ukochaną Janinkę, państwa Gromontowskich i śliczny Jodłowiec. Panienki zanosiły się od płaczu i Janina płakała serdecznie.

Pan Gromontowski odjechał także do siebie i tylko wujeńcia poczekała na przyjazd pani Siewońskiéj i Julki.

Przybyły wreszcie, a jakież to były powitania!

Julja wyglądała jak różyczka, tak jéj posłużyła bytność w Meranii. Janina, patrząc się na nią, serdecznéj doznała radości.

Tego samego jeszcze wieczoru, pani Siewońska i Julka dowiedziały się o wszystkiem co zaszło — z wielkim ubolewaniem. Pierwsza czyniła sobie wyrzuty dotkliwe i obiedwie płakały. Janina jednak zachowała spokój zupełny.

Minęły dni pierwsze po powrocie pani Siewońskiéj i Julii, a potem wszystko do zwykłego wróciło trybu.

Młoda dziedziczka Jodłowca, z poczuciem wyższych obowiązków i własnego w tem szukając szczęścia, oddała się gorliwie sprawom domu swojego i dziedzictwa. Zażądała sprawozdań poszczególowych o bycie i potrzebach sług i włościan, w obudwóch kluczach: Jodłowiec i Burzany. Pojechała do Złocina i przedłożyła panu Gromontowskiemu, jako opiekunowi wszechpełnomocnemu życzenia swoje i postanowienia, co do urządzeń wszelkich, podniesienia szkółek wiejskich, założenia ochronek i szpitala. Pan Gromontowski, w poczuciu słuszności, przychylał się do wszystkiego: uznał zbawienność pragnień pupilki swojéj — i widział z zadowoleniem, że to jéj niosło pociechę serca i szczęście dla duszy. Nadto przyrzekł postarać się, by obok chirurga i zdolny lekarz osiadł w miasteczku, a młoda dziedziczka przeznaczyła 12,000 złotych na założenie apteki.

Za powrotem ze Złocina zastała list z Zajezierza. Gorączkowym pochwyciła go ruchem, pobladła i trzymając go w ściśniętem ręku, po chwili dopiero rozłamała pieczątkę.

Pani Radzyńska kilkanaście tylko serdecznych przesłała jéj wyrazów, wskazując na obszerny list Frani. Janina rozłożyła drobnym a gęstem pismem zapełniony arkuszyk, i przeczytała:

„Droga, Najdroższa!

Mama zdała mi całą korespondencją, bo bardzo jest zatrudnioną o czem poniżéj przekonasz się sama.

Zastałyśmy tu pana Jerzego, niebezpieczną złożonego chorobą. Przywołany listem majora, przyjechał bez zwłoki, zniepokojony, wzburzony: przypędził końmi kuryerskiemi, lecąc bez wytchnienia. Ztąd pogonił konno do Zjawieńca, nie spocząwszy i nie posiliwszy się niczem, a znękany ponad wyraz wszelki. Jaka zaszła scena w Zjawieńcu? — o tem nikt nie wie. Pan Jerzy, gdy wrócił, wyglądał jak mara i zapadł na gwałtowne zapalenie mózgu.

Ojciec natychmiast dwóch przyzwał lekarzy. Poczciwy major czuwał nad chorym z troskliwością nieporównaną.

Obecnie złe już minęło. Choroba usunięta szczęśliwie, ale rekonwalescent osłabiony jest bardzo, i wygląda jak gdyby z grobu powstał: blady, wychudły, z zapadłémi oczyma.. Biedny wujaszek!

Mama niechciała niepokojącéj przesłać ci wiadomości, więc czekałyśmy dni kilka dopóki nas nie pocieszyli lekarze. Dziś mogę ci donieść, wstał już pan Jerzy po raz pierwszy na godzinę.

Mama mówiła mu, żeśmy ciebie odwiozły i opowiadała o Twoim prześlicznym Jodłowcu.

— A jakież tam panna Janina teraz ma towarzystwo? — przerwał jéj trochę niby niecierpliwie, jak gdyby słuchać nie chciał o twojem pięknem dziedzictwie.

(d. c. n.)

Pogadanka Tygodniowa



Poniesienia gazeciarskie, o śpiewających skowronkach, kwiatkach, motylkach, świeżéj orce i tym podobnych zwiastunach wiosny, przy trwającym ciągle mrozie, szpilkującym nie na żarty, nadzwyczaj wyglądają pociesznie. Biedny skowronek! jakże smutnie musi spoglądać na kry płynące rzekami, na lodowe tafle stawów i sadzawek i na drzewa i krzewy obsypane białym szronem. Gdyby mu można było dać kożuszek jak pieskom salonowym, przyklasnąłbym radośnie, bo pieski choć poczciwe stworzenia, ale w szczekaniu i napaści brutale do nieźniesienia, gdy skowronek nikomu nie wejdzie w drogę a każdego pociesza i raduje.

Kto wie czy moda coś podobnego kiedy nie wymyśli? Dziś Paryżanki na ulubiony przez siebie kolor, farbują włosy, i według niego przystrajają stangretów, lokai, konie w kokardy i festony, dlaczegóżby i o skowronkach z czasem sobie nie przypomniały? Byłby to zbytek, powiecie, bo Bóg najlepiéj radzi o swojéj czeladzi, do jakiéj i szary ten ptaszyna należy, zawsze jednak szlachetniejszy i roztropniejszy jak wyrzucanie po 7000 franków na suknią raz tylko mogącą być użytą. Cena ta bajecznéj niemal wysokości, na nieszczęście jest zupełnie prawdziwą, bo niedawno pani Persigny córka marszałka Ney, a jako wzbraniająca się wypłaty podobnéj kwoty, pozwaną została przez słynnego damskiego krawca p. Mangas przed Trybunał cywilny. Siedem tysięcy franków! grosz ładny, dla niejednego majątek mógłby stanowić, tu po jednorazowem użyciu sukni, idzie w kąt na szmatki podarty. Już fraszka o pieniądze bo te przechodząc z rąk do rąk zawsze komuś użytek przyniosą, ale jaka szkoda pracy ludzkiéj w tak marnym kierunku zużytkowanej.

Praktyczniejsze Amerykanki w podobne cacka nie bawią się. Opanowane gorączką przystroju, obsypują się brylantami i złotem, jak bajeczne drzewa z rubinowemi jabłkami i liściami turkusowemi. O ile to je upięknia nie umiem sądzić, ale że wyglądają ponętnie o tem na chwilę wątpić nie można. Młodzież zapewne szybko oblicza ile warte wdzięki takiéj piękności, i to bez omyłki, bez pióra i kałamarza. Gdyby całe posagi w przystrój wchodziły, rachunek byłby jeszcze pewniejszy. W praktycznem naszem stuleciu, kto wie czy do tego kiedyś nie przyjdzie, hypoteki straciłyby znaczenie, ale za to zyskałby rachunek z jedną niewiadomą. To wiele znaczy!

Amerykanki jednak nie o samych tylko brylantach myślą. Są one praktyczniejsze jak sądziemy, a dowodem tego publiczne prelekcje w Bostonie o kuchni i gotowaniu. W obec dwustu dam, uczony kuchmistrz teorją popierając czynem, na urządzonem ognisku, ugotował jednocześnie objad, z którego każdą potrawę damy kosztowały. Może wezmecie za złe, niewłaściwe użycie wyrazu *uczony?* Ale gotowanie jest także nauką, posiadający więc ją w wysokim stopniu, czyż nie słusznie na miano uczonego zasługuje? Wszakże on uczy jak użyć przedmiota codziennego naszego pokarmu, żeby były smaczno i zdrowo przyrządzone? Wszakże i on musi badać, zastanawiać się, wnioskować i doświadczać, i martwą naturę podbijać na użytek ludzkości. Retorta chemiczna i rądel czyż to nie jedno? Czyż rądel nie służy wszystkim a retorta tylko wybranym jednostkom? Dlaczegóż więc spoglądamy na niego z pogardą, a na przyrząd chemiczny z uniżonem uszanowaniem? Nie sądzcie jednak abym występował w obronie żarłoków i smakoszów, zbytek we wszystkiem zdrożny wiem tylko że z braku książki nikt nie chudnie ani umiera.

Niemki słynące po świecie jako dobre gospodynie i kucharki, teraz zabrały się do nauki kupiectwa, i w tym celu p. Marja Küchnol otworzyła w Wiedniu szkołę kupiecką wyłącznie dla samych kobiet, w któréj udzielane są stosowne wiadomości potrzebne dla buchalterów i subjektów handlowych. Każdą podobną wiadomość podaję Wam z największą radością, bo dowodzą one czynności duszy kobiecéj, nie pozostającéj bez wpływu na mężczyzn. A potrzebne to ogromnie.

Kłopocząc Was nieraz różnemi kwestjami, przebaczcie że Wam przedstawię własny kłopot.

Oto zostałem właścicielem i redaktorem *Przyjaciela Dzieci* o czem ogłoszenie w dzisiejszym się mieści numerze. Czując całą ważność i trudność podobnéj pracy, jakoś trwożę się czy odpowiem godnie jéj obowiązkom. Dzieci to przyszli ludzie, w których wszystkie zdolności spoczywają niby w uspieniu, a jednak muszą działać i objawiać się w odpowiedniéj formie do ich wieku. Dziecię rośnie a z niem wszystko, serce, dusza, rozwaga, a szczególniéj pożądanie świata tak błyszczącego i pociągającego. Obowiązki go czekające, praca i konieczność jéj, są mu prawie obce, a przynajmniéj tak spowszedniałe, że o nich zupełnie nie myśli, a tylko tęschni i wzdycha do owych uroczych czasów, rozpoczynających się u panienki długą sukienką, a u chłopców frakiem i pierwszą wysypką faworytów. Być doradcą w rozwoju moralnym dziecka, fałszywe pojęcia prostować, przesadzone łagodzić, pokazywać wszędzie prawdę, ułudę niszczyć a jednak nie zdzierać poetycznéj barwy z wewnętrznego procesu myśli,

jest przeznaczeniem pism takich jak Przyjaciel Dzieci. Zwykle moralizowanie i przedstawianie pięknych przykładów, uważane jest za najodpowiedniejsze dla młodocianego umysłu, tak dalece, że w książeczkach i artykułach przeznaczonych dla dzieci, o formę nic się prawie nie troszczą, o treść nie wiele i głównie na dążność zwróconą jest uwaga. Dla niéj poświęcono wszystko i jak tylko praca jaka literacka, jest przepełniona sentecjami, nie zajmująca rzeczą i napisana bez talentu, ale z dążnością moralną, powszechnie następuje zdanie, że jakkolwiek dla starszych osób nie jest odpowiednią, dla dzieci może wybornie służyć. Jest to błąd ogromny i bardzo szkodliwy, bo jeżeli my koniecznie szukamy w książce rozumu, talentu i pięknéj formy, dziecko jest jeszcze bardziéj wymagającem, bo bardziéj od nas pragnie zajęcia i rozrywki. Pisać więc dobrze dla dzieci, to jest zajmująco i ucząco, jest trudność ogromna, z tąd obawa czy jéj podołam, czy wybrnę z przeszkód co chwila się nastręczających? Proszę więc o radę i stosowne uwagi, które przyjmę z największą powolnością, bo gdzie idzie o służbę społeczną tam miłość własną pakuje się do kozy żeby nie zawadzała.

W dniu 25 stycznia r. b. o godzinie 4éj z rana, umarł we wsi Woronowie pod Bełzem, w domu matki swojéj, Karol Cieszewski, chlubnie w naszem znany piśmiennictwie.

Urodził się 19 listopada 1833 r., w Bełzie, w Galicji, w obwodzie Żółkiewskiem, gdzie także pierwsze pobierał nauki. Następnie skończył szkoły w gimnazjum lwowskiem.

Znany już od r. 1857 z powieści i artykułów oddaną mu została w r. 1860 redakcja *Czytelni dla młodzieży*. Pismo to przez dwa wychodziło lata.

Napisał i kilka komedji, które w teatrze lwowskim z powodzeniem grywane bywały, jak np. *Zerwany most—Piekielne męki—Popas w Żółkwi* i t. p. Znane nam są w rękopisie wyborne: *Scen kilka z życia redaktora dziennika.*

Znając dokładnie język niemiecki, pisywał i do dzienników niemieckich, mianowicie też do czasopismu *Erinnerungen.* W tem ostatniem zajmowała szczególniéj powieść *Das Vermächtniss.*

Jest i ładnych kilka poezyj Karola Cieszewskiego. Ciężka choroba, niestety, przerwała mu pracę, któréj się z miłością i gorącą chęcią, oddawał.

Zacny, szlachetny, towarzysz miły, s. p. Karol Cieszewski łacno sobie pozyskał sympatyą ktokolwiek go poznał. Niósł dla wszystkich życzliwość i serce przychylne wielu też miał przyjaciół. Wyprzedzili go do wczesnego grobu młodzi rowieśnicy, Brunon Bielawski, Walery Łoziński, Mieczysław Romanowski.

Nie róże zaścielały drogę żywota Karola Cieszewskiego, ale raczéj niezasłużone tylko ciernie i głogi. Wart był szczęścia, które doń nie uśmiechnęło się wcale. Śmierć jego długie i ciężkie poprzedziły cierpienia.

Szkoda pracowitego i zdolnego pisarza! Szkoda zacnego człowieka!

P. W.

PRZYJACIEL DZIECI

PISMO OBRAZKOWE TYGODNIOWE.

Obejmując od dnia 1 Kwietnia b. r. wydawnictwo i główną redakcję *Przyjaciela Dzieci*, mam zaszczyt podać do wiadomości, że pismo to nadal wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Znając ważność podobnéj publikacji, dołożę wszelkiego starania, aby *Przyjaciel Dzieci* bawiąc i zajmując, rozwijał umysł młodych swych czytelników i bez nudzącego moralizowania, samą treścią i dramatyczną formą, szczepił zamiłowanie wszystkiego, co zacne, dobre i szlachetne. Użyteczność podobnéj pracy znana powszechnie.

Z téj bowiem młodzieży już zaczynającéj myśléć i zastanawiać się, z tych chłopczyków hasających za piłką na drewnianym koniku, mają z czasem powstać pracownicy na pociechę i chlubę społeczności: z tych panienek pragnących współudziału w trudach domowego zarządu, z tych dziewczynek bawiących się lalką, wyrosną kiedyś żony, matki i gospodynie, jako strażniczki cnót domowych jedynych dawców ogólnéj pomyślności.

Rojna ta ludność domowéj zagrody, od pierwszego pobłysku myśli, z zajęciem na wszystko pogląda, pyta się, bada, dochodzi: późniéj nęcona świata powabami, wyciąga drżące ku niemu ręce i goniąc za zwodniczą marą, często boleścią zawodu opłaca brak doświadczenia. Uchronić ją od tego o ile można, pokazywać zwodnicze ułudy fałszu a zalety prawdy, stać się doradcą, przewodnikiem, prawdziwym *Przyjacielem* i rozbudzaniem zamiłowania czytania, wskazywaniem skarbów wiedzy i umiejętności zachęcać do pilnéj nauki, będzie jedynem zadaniem *Przyjaciela Dzieci.*

Mam nadzieję że ludzie dobréj woli nie odmówią mi rady i pomocy o jakie najuprzejmiéj proszę.

Prenumerata w Warszawie wynosi kwartalnie rs. 1 kop. 5 — miesięcznie kop. 35— na stacjach pocztowych kwartalnie rs. 1 kop. 25 koperta kwartalnie kop. 50. Prenumerujący inne pismo w kopercie, oddzielnéj dopłaty za kopertę nie ponosi. Główna ekspedycja w Redaksji Tygodnika Mód ulica Żabia N. 956 dom dawniéj Krzemińskiego.

Jan Kanty Gregorowicz.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.